

# Kronika tygodniowa.

Zakończenie poprzedniej kroniki miałem poświęcić różnym, bardzo ważnym sprawom, niestety, brak miejsca stanął znów na przeszkodzie. Dojechałem zaledwie nowym tramwajem na Podgórze i trzeba było wracać, ani głodu nie zaspokoiwszy, ni spieczonego języka nie zwilżywszy kroplą jakowegoś życiodajnego trunku. Ale trudno, ciężkie czasy.

Z kolei rzeczy postanowiłem uronić kilka gorzkich łez nad garbatym losem, który cywilom każe chodzić bez butów, cały bowiem zapas skór przeznaczają się dla wojska, reszcie pozwalając używać jedynie surogatów. Cieszyliśmy się jednak, gdyż równocześnie ogłoszono, że ceny obuwi zostaną uregulowane, a my w ten sposób ochronieni będziemy przed szewskim wyzyskiem. Miał nawet powstać specjalny trybunał rozjemczy, przed którego forum można się udać z zażaleniem, gdyby ten lub ów z panów majstrów chciał z klienta żywcem obciągnąć skórę. W skład trybunału owego wchodzą naturalnie mistrzowie sławetnego kunsztu, ogromnie już dziś się cieszący, iż odtąd zwykły śmiertelnik będzie ich musiał tytułować „panem sędzią“, jeśli nie „radcą“. W porównaniu z tym szewskim trybunałem — trybunał rozjemczy w Hadze miał być tylko czemś drugo lub nawet trzeciorzędnym. Z tego powodu cena obuwi miała znowu podskoczyć, prawdopodobnie... z radości.

Pokazało się przecież, że ów szewski trybunał, choćby nawet zaczął istnieć, nie będzie brał w obronę klientów, tylko samych szewców, czytamy bowiem w *Krakauerce* z dnia 26. lutego, iż pewien jegomość, nie mający ochoty chodzić bez butów, a oburzony na szewca, który mu za robotę podyktował niesłychaną cenę, udał się z zażaleniem do starszego cechu, pewny, że ten mu wymierzy sprawiedliwość. Ale jakże się zawiódł!... Pan starszy wysłuchał, co prawda, najlaskawiej skarżącego, ale mu z góry oświadczył, że szewcy gwizdają na wszelakie trybunały rozjemcze, gdyż nikt im rozkazywać nie może! Komu się zresztą nie podoba, niech nie idzie do szewca... Ba, ale zapomniał dodać, dokąd się ma udać, gdy mu się podrażą trzewiki?... Może do blacharza?... Jego robota z pewnością byłaby trwałszą, no i tańszą, choć i blacharze mają wyższe aspiracje, zajmując się naprawą rynien lub dachów na różnych budynkach i wieżach.

Wobec wyżej przytoczonego faktu straciłem już wszelką nadzieję, bym mógł przed końcem wojny znaleźć się w tem miłym położeniu, które nazywa się: całe buty. A kto temu winien?... Teraz widzimy, że sami szewcy. Ustaliło się już między ludźmi przeświadczenie, iż szewc chodzi zwykle w dziurawych butach, więc też panowie majstrowie powiedzieli sobie: „Możemy my, mogą i inni!... i „hejże na Soplicę!“...

Gorzka więc nasza dola, a, co gorsze, odtąd będziemy musieli słodzić ją sobie w sposób sztuczny, zapomocą sacharyny, gdyż cukru coraz mniej, a wnet wcale go nie będzie. Ale i pieprzu też brak, ktoby więc chciał porządnie sobie coś popieprzyć, musi się obejść bez niego, lub oglądać za jakimś surogatem. A z pewnością jakiś się znajdzie, gdyż pomysłowość ludzka jest pod tym względem niewyczerpana. Uчени chemicy chcą produkować cukier z wydzielin diabetyków, może też wpadnie ktoś na pomysł, w jaki sposób otrzymać coś, co mogłoby pieprz zastąpić... daćmy na to jakiś surogat, wytworzony na przykład z gorzkich wyrzutów sumienia!... W każdym razie byłby apetyczniejszy, niż ów wyżej wspomniany cukier, albo tłuszcz z pomyj, z gasienic i inne, tym podobne wojenne smakołyki.

Choć, czy opłaca się to zajmować się takimi drobnostkami, skoro dowiedzieliśmy się z gazet, zwłaszcza niemieckich, iż Galicya, to kraj mlekiem i miodem płynący, gdzie, co drugi przynajmniej obywatel umiera z przejedzenia, wszyscy bez wyjątku cierpią na zatłuszczenie różnych organów, jak nie tego, to owego, słowem, żyć tu, nie umierać. Gdyby to była prawda, byłbym dumny z tego, iż jestem płacącym podatki obywatelem tego bogatego i szczęśliwego kraju, niestety, zupełnie inaczej mówi przykra rzeczywistość. Pewnie, że mamy trochę różnych artykułów spożywczych, których taką moc produkuje nasz kraj rolniczy i mieliśmy ich jeszcze więcej, gdyby ich od nas nie wywożono, ale n. p. Wiedeńczyk nie powinien nam tego zazdrościć, bo i przed wojną nie było inaczej. Trudno zaś wymagać, byśmy wszystko oddali, a sami ograniczyli się na higienicznym odżywianiu świeżem powietrzem, które jest wprawdzie bardzo zdrowe, ale zupełnie nie pożywne. Opowieści o owych zapasach, jakie nagromadzone mają być w Galicyi, są tylko złośliwym wymysłem, a rozpuszczane są przez tych, którym Galicya była i jest solą w oku.

Nie przeczę, że i u nas znajduje się ten lub ów spekulant, który porobił zapasy, i powoli, w miarę podnoszenia się cen, puszcza je w obieg, ale takich samych jegomościów znajdzie się nierównie więcej na zachodzie. Czekolady, cukry, rozmaite konserwy i tym podobne przysmaki przychodzą do nas z magazynów wiedeńskich, a płacimy za nie na wagę złota, za zboże zaś lub ziemniaki otrzymujemy tylko ustanowione maksymalne ceny.

Jeśli ma się dać wyraz słuszności, to właśnie trzeba powiedzieć, że w Galicyi niedobrze się dzieje, skoro brak maki, ziemniaków i t. d., a kraj to przecież wybitnie rolniczy, który tych artykułów miał zawsze podstatkiem.

Część winy musimy przecież sami sobie przypisać. Narzekania, idące ku nam od zachodu, miały pewne uzasadnienie, dzięki temu, iż niektórzy jadłodawcy nie przestrzegali zbyt ściśle różnych postnych przepisów i gościom swym własnowolnie udzielali od nich dyspenzy. Widzieli to obcy i, rzecz prosta, powróciwszy do domu, opowiadali wszystkim wobec i każdemu z osobna, jak to Galicya wspaniale sobie żyje. Ponieważ zaś każdy człowiek jest trochę z urodzenia poetą i daje się często unieść rozrzucającej fantazyi, nie też dziwnego, że ten i ów powiedział potem dwa lub trzy razy więcej, niż był powinien. A inni słuchali, łykali tylko ślinkę i oburzali się na Galicję.

Wiedeńczykom nie podobało się także, iż różni przybysze z Galicyi przywożą ze sobą chleb, masło, ser, kielbasę i inne, tym podobne specjały, o które u nich trudno. Ale Galicyanin, jadąc do nich, zaopatrywał się dlatego w niezbędne zapasy, iż wiedział, że tam ich nie dostanie, a nie chciał cierpieć głodu i objadać tych, którzy sami mają niewiele. I właśnie za to jego dobre serce spotkała go wdzięczność i nagroda, iż okrzyczano go sybarytą, pamiętającym tylko o sobie!

Tym, którzy zdaleka najbardziej narzekają, a sami tutaj jeszcze nie byli, radzę, niech przyjeżdżają, a przekonają się sami, że tak dobrze nam nie jest, jak im opowiadano. Mamy zaledwie tyle, iż z biedą wystarczy na zatkanie gęby i to w sposób niezupełnie dostateczny.

Ot, ja sam widzę to po sobie, że powoli, ale systematycznie tracę na żywej wadze, co musi niezbyt korzystnie odbić się na wszelkich funkcjach życiowych, zwłaszcza zaś przeraża mnie okoliczność, iż rozpoczął się marzec, w którym „ruch zmarłych“ według sprawozdań Biura statystycznego jest zwykle największy, o czem zresztą wspomina i poezja ludowa, mówiąc: „Jeśli marzec przeżył starzec, będzie zdrow, a gdy baba w marcu słaba, pacierz mów!“... Dobrze przynajmniej, iż mrozy się skończyły, a że w łeb wzięły, to moja w tem zasługa, trzymam się bowiem starej metody i, ilekroć mróz mi dokuczy, liczę dwunastu łysych. Zanim dojdę do tuzina, już po mrozie. Trzeba jednak uważać, by się nie pomylić i nie zamieszać między nich owłosionego, gdyż wówczas cała robota na nic. Posiadam zestawienie owych dwunastu i stale je uzupełniam, by nigdy nie brakło kompletu i mogę powiedzieć otwarcie, iż ta metoda dotąd mnie jeszcze nie zawiodła. Dla wiadomości tych, którzyby chcieli mej metody spróbować, dodam, że powinny to być osobniki wyłącznie rodzaju męskiego, gdyż tylko im można zaufać, iż łysiny ich są naturalne, bo i to ma wielki wpływ.

Właściwie przecież nie możemy powiedzieć, iż mrozy już nie wrócą, choć, co prawda, ze względu na brak węgli nie są zupełnie pożądane. Rok 1917. ma być rokiem niespodzianek. Zapowiadają nam trzęsienia ziemi i inne tego rodzaju niespodzianki, więc ciekawy jestem, dlaczego na przykład nie moglibyśmy mieć mrozów i śniegów na Zielone Świąta, by móżdż saniami wyjechać na Bielany. Owe plamy na słońcu, o których swego czasu wspominałem, mogą z tem mieć także pewien związek, tak samo i owe spacery po niebie Jowisza, wdychającego nocą do księżycy. Swego czasu spotykał się nocną porą z Wenerą, widocznie teraz zakazano mu ze względu na obyczajność publiczną.

Nie krzyczmy więc „hop“, póki się nie przeskoczy. Dopóki kalendarz nie powie mi, że mamy już lipiec i dopóki promienie słońca nie przekonają mnie, że już lato, nie zdejmę z grzbietu zimowego płaszcza i czekać będę mrozu... A nuż!...

Ale czy to dogodzi komu?... Wzdycham nibyto do ciepła, a jestem pewnym, że, gdy mi ono zbyt dokuczy, będę znów jęczał: „A bodaj się obwiecił ten, kto wymyślił gorąca!“... Chyba, gdyby się wojna tymczasem skończyła, nie mówiłbym nic, a zanosił się na to. Wielcy politycy tak mówią, a im trzeba wierzyć, bo jeżeli się mylą, to tylko bardzo rzadko. Otóż jeden z tych panów oświadczył, że pokój musi być zawarty przed jesienią, ale znów nie dodał, czy w tym roku Pańskim, czy dopiero w następnym.

Na decyzję Ameryki czekamy ciągle, dowiadując się przy tem różnych szczegółów z życia Wilsona, nawet takich, o których on sam nie wie i nie wiedział

nigdy pokazało się nawet, że jest wolnomularzem. Przedstawiciele koalicji przygotowują się do uowej, ogólnej ofensywy i radzą obecnie w Calais, przedtem w Petersburgu, ale do zgody w żaden sposób dojść nie mogą i nie mogą znaleźć tego, komu by przypisać winę, że nie wiedzie im się tak, jakby pragnęli.

Podczas petersburskich obrad ujawniły się ostre przeciwieństwa, głównie między angielskimi a rosyjskimi i włoskimi przedstawicielami, obecnie, podczas rokowań, przeprowadzonych w Calais, usunięte zostały podobno różnice, istniejące między Francją a Anglią, obecnie więc rząd francuski będzie torował drogę porozumienia Petersburga i Rzymu z Anglią. Tu i tam muszą być przewyciężone nie tylko rzeczowe zarzuty, skierowane przeciw niektórym propozycjom angielskim dotyczącym dalszego prowadzenia wojny, lecz także żywe niezadowolenie, wywołane przez dyktatorskie zachowanie się delegatów angielskich nad Nową.

Dopiero po wygładzeniu tych nierówności można będzie zabrać się energicznie do pracy, zwłaszcza, że tymczasem będą już może gotowe amerykańskie pancerniki lądowe, o wiele przewyższające angielskie „żółwie“. Na razie projekt nie jest jeszcze zrealizowany, ale pomysłowi Amerykanie chyba nie spoczną, dopóki go w życie nie wprowadzą.

Jest to bardzo dowcipne połączenie wozu bojowego z czasów Aleksandra Wielkiego z nowoczesnym okrętem, więc olbrzymia machina, w kształcie kadłuba okrętowego, spoczywająca na trzech kołach, z których przednie jest sterowe. Jest ona silnie opancerzona i zaopatrzona w działa różnych kalibrów, karabiny maszynowe, ręczne granaty, minierki i inne, tym podobne, niewinne uarzędzia utrzymania stałego pokoju. O wielkości jej daje pojęcie okoliczność, iż każde koło ma tylko sześćdziesiąt metrów średnicy. Przy tych rozmiarach nierówność terenu, rowy i t. p. nie przedstawiają żadnej przeszkody w posuwaniu się naprzód. Nawet domy i lasy nie potrafią tego potwora w ruchu powstrzymać. Podspodem znajdując się ogromne grabie, które dopełniają dzieła zniszczenia. Maszyny poruszające umieszczane są we wnętrzu, nie wiadomo jednak, jaką siłę posiadają.

Pan Wilson, rozporządzając bodaj jednym takim powozikiem, może być pewnym zwycięstwa i zapewne z ostateczną decyzją czeka na zrealizowanie tego fantastycznego projektu. Bieda ci, wówczas, środkowa Europo! Przejedź po tobie w swym pojeździe raz tam, drugi raz z powrotem i już więcej nie trzeba. Przy tej sposobności musi przecież uważać, by nie zniszczył przypadkiem Pałacu pokojowego w Haizie.

Do rządu wynalazków, przeznaczonego na zapobieżenie przeludnieniu Europy, a mogących jeszcze w obecnie toczącej się wojnie znaleźć praktyczne zastosowanie, zaliczyć należy wynalazek norweskiego porucznika, pana Fritjofa Andersena. Podobno, tak twierdzi przynajmniej prasa neutralna, ma on w zakresie techniki wojennej zająć bardzo ważne miejsce. Polega zaś na tem, że można zapomocą elektryczności z bardzo odległego punktu kierować armatami, przyczem wszystkie działa, włączone w przewód elektryczny, może nastawiać jeden człowiek. To znaczy, że człowiek ten, znajdując się zdala od dział, gdzie więc nie jest narażony na żadne niebezpieczeństwo, może stamtąd odpowiednio do swych obserwacji nad nieprzyjacielem, regulować cały ogień działowy szybciej i pewniej, niż przy dzisiejszym systemie. Czynnosc żołnierzy, obsługujących działa, ogranicza się tylko na nabijaniu ich i strzelaniu, kierowanie ich paszczkami i robienie poprawek należy do obserwatora.

Zaczęto już próby, a równocześnie zagranica zainteresowała się podobno wynalazkiem i wdrożyła szereg rokowań w tej sprawie.

Ja zrobiłbym jedną tylko uwagę, zupełnie neutralną. *Nomen omne* a nazwisko Andersen, znane jest w literaturze, zwłaszcza bajkopisarskiej, kto więc wie, czy i ten wynalazek nie „dałby się w bajki włożyć“. Wszak i pan Ulivi, jakiś genialny Włoch, chwalił się ogromnie głośno, że przy pomocy elektryczności i jakichś tam nowych promieni potrafi na ogromną odległość wywoływać eksplozje nawet min, głęboko ukrytych pod ziemią, a potem pokazało się, że to było błagą.

Bardziej niewinnym, ale również nieco fantastycznie wyglądającym jest wynalazek jakiegoś Amerykanina, zgłoszony już do opatentowania. Przy jego pomocy osiągnąć można w godzinie chyżość osiemset kilometrów, stanowczo więc większą, niż ta, z jaką posuwają się krakowskie tramwaje, zwłaszcza na liniach wąskotorowych. Jest to tak zwany „jednokołowiec motorowy z wirownicą“. Część podstawową stanowi koło o średnicy ośmiu metrów, z motorem i siedzeniem dla kierownika poniżej osi. Według obliczeń teoretycznych, przebyć może ten nowy motomonocykl w jednej sekundzie dwieście czterdzieści metrów, ale po drodze gładkiej, równej i prostej, w praktyce przecież okazać się dopiero, czy wynalazca zbyt się nie przechwalał.